XVI. Kraków, 1 grudnia 1913 r. Nr. 23.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 kor., 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). **Telefon Nr. 479**

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.



— **Automobil mój, proszę pani, przewyższa wszystkie siłą i wytrzymałością!**

— **Szofer, zdaje mi się, też!**

Nieporozumienie.

Pewien znakomity profesor, zajmujący się psychologią i chorobami nerwowemi, zwiedzał jeden z większych zakładów, w którym pomieszczono chorych umysłowo.

Oprowadzał go dyrektor zakładu, który ciekawy był ogromnie zdania swego gościa.

— No, i jakież wrażenie odniósł pan profesor? — zapytał.

— Jestem po prostu zachwycony. Wszystko tutaj urządzone jest tak postępowo, że doprawdy nawet się tego nie spodziewałem! — odpowiedział zagadnięty. — Prócz wspólnego zwiedzania i sam obszedłem kilka sal i ogród i widziałem kilka bardzo interesujących wypadków.... W ogrodzie mianowicie spotkałem jakiegoś waryata w słomianym kapeluszu i w szarem ubraniu. Wdałem się z nim w rozmowę, zadał mi kilka pytań, które mnie po prostu zadziwiły... To jest największy waryat, jakiego kiedykolwiek udało mi się widzieć!

— Ależ, panie profesorze — odparł dyrektor. — Pan jest w błędzie! To nie waryat! To znany powieściopisarz pan Y., który tutaj bawi, aby robić studya do swej nowej powieści... On jest kompletnie umysłowo zdrowy!

Pan profesor poprawił okulary, pogadał jeszcze parę minut, pożegnał się i wyszedł.

W chwilę po jego odejściu do gabinetu dyrektora wszedł pan Y. Był rozpromieniony.

— Panie dyrektorze! — rzekł odsapnąwszy. — Jestem po prostu szczęśliwy! Mam to, czego szukałem. Przed półgodziną poznałem waryata, który akurat nadaje się na bohatera mej powieści!... Taki wysoki, chudy, nosi okulary i cylinder!...

— Ależ panie! — dyrektor na to. — To pomyłka. To nie waryat! To znakomity neurolog, profesor X., który przybył, aby zwiedzić nasz zakład.

Z figlów miłości.

Raz mnie prosiła hoża dzieweczka,
Bym jej wyjaśnił, co znaczy miłość!
— Miłość — odrzekłem — dwóch serc zażyłość,
Dwóch zgodnych piersi cudna piosneczka,
Urągająca smutkom i trwogom,
Światu i ludziom, cierniom i głogom!...
Miłość — to śliska, stroma pochyłość,
Wiodąca w bezdeń szczęścia i czarów,
Miłość — królestwo bezdennych żarów,
W których roztapia się ból i troska!
To droga szczęścia, czarowna, boska,
To upojenie, zachwyt, to szał!...
Rzekłem, a płomień w mem oku drgał,
A pierś zawrzała mi burzą wściekłą!...

Dziewczę się zlękło i... i uciekło!

Raz mnie prosiła panna Idalia,
Bym jej wyjaśnił, co miłość znaczy!
Spojrzałem na nią, na gest rozpaczy,
Którym poparła swoją ciekawość,
Na te jej zmarszczki, na oczu łzawość,
Na suchych piersi oddech gwałtowny,
Na ostrą brodę i męskie wąsy,
I rzekłem: Miłość, to dyabłów pląsy,
To szyderstw losu worek pakowny,
To nonsens, absurd, to anomalia!...
Przygryzła usta panna Idalia
I przecząc — głowę skłoniła siwą,
Na moją młodą pierś nieszczęśliwą —
Chciała mnie pożreć wejrzeniem wściekłem!...
Zląkłem się baby i... sam uciekłem!

Trudne pytanie.

Pan Fujarkiewicz według zwyczaju układa się po obiedzie do popołudniowej drzemki, młoda jego żonka zabawia się rozmową z ich stołownikiem.

Nagle budzi się pan domu i to w tej krytycznej chwili, gdy młody człowiek wyciska ognistego całusa na ustach jego rodzonej żony.

Pan Fujarkiewicz nie stracił jednak równowagi umysłowej, ale rzekł do siebie:

— Hm! Ciekawym bardzo, czym się obudził zawcześnie, czy też zapóźno?

Uspokojenie.

Pan X., który dźwiga na karku już piąty krzyżyk, przechadza się z żoną po wystawie mebli.

— Ach, patrz, mężu, jakie ładne wózki dziecinne. A jakie tanie!... Trzydzieści koron! Kupże ten z niebieską firanką, proszę cię!

— Pocóż?... Przecież nie mamy dzieci!

— O to się już nie troszcz, mój Pawełku! Już w tem moja, nie twoja głowa!

Przez telefon.

— Halloh! Czy zakład fryzyerski pana Grzebykowskiego?

— Do usług pani dobrodziejki! Czem mogę służyć?

— Idę dziś wieczór na zabawę! Chciałabym, by mnie pan ufryzował...

— Bardzo dobrze... Służę pani dobrodziejce... Czy mam się tam zgłosić osobiście, czy też może pani dobrodziejka przyszle mi swą fryzurę?...

Łatwo odróżnić.

W pewnym banku miało się odbyć posiedzenie akcyonaryuszy. Bezpośrednio przed niem zgłasza się jakiś nieznajomy pan do woźnego i powiada:

— Chciałbym się koniecznie rozmówić z dwoma panami z rady nadzorczej i z dwoma akcyonaryuszami! Sprawa bardzo ważna! Czy nie mógłby mi pan ich wskazać?

— Łatwo ich rozróżnić — woźny na to z powagą. — Ci z rady nadzorczej są wszyscy tłuści, akcyonaryusze natomiast wyglądają, jak szczypy...

Szczególny znak.

— Proszę pana komisarza, utopił się mój mąż. Proszę go kazać szukać!

— A po czem można go poznać? Miał jaki znak szczególny?

— Tak jest! Był głuchoniemy!

Zemsta.

(Humoreska).

Powiadają ludzie, że zemsta jest słodką, kościół przecież potępia ją, grożąc nawet karami piekielnemi.

Kto ma racyę, ja nie wiem, Czytelnik przecież sam osądzi.

Żył sobie nie tak dawno w Krakowie bardzo sympatyczny trójkącik małżeński, składający się z pana Karola, jego żony Stasi i przyjaciela domu, pana Władysława.

Państwo Karolowie, którzy pobrali się przed kilku zaledwie tygodniami, byli stadłem pod każdym względem zupełnie dobranem i kochali się z całego serca, co zresztą, ze względu na miodowe miesiące, jest bardzo łatwo zrozumiałem.

Władek, kolega Karola ze szkolnej ławy, później zaś dzielący z nim kawalerskie mieszkanie i takąż dolę i niedolę, dowiedziawszy się o zamiarze przyjaciela wstąpienia w święte związki małżeńskie, nie chciał nawet słyszeć, by obaj mieli się rozłączyć i tak długo molestował Karola, aż ten wynajął takie mieszkanie, z którego jeden pokój możnaby jemu odnająć.

Jako długoletni przyjaciel męża, a do tego chłopak młody, wesoły i przyjemny w towarzystwie, pan Władysław był mile i chętnie widzianym w domu państwa Karolów.

Do nowej swej roli bardzo łatwo się przyzwyczaił, żonie przyjaciela wyświadczał różne drobne usługi i grzeczności, pisał kartki z widokami, przynosił bilety na rauty, koncerty, festyny, towarzyszył na przechadzkach, w teatrze i t. d.

Powoli węzły znajomości między obojgiem poczęły się coraz bardziej zaciskać, aż raz pan Władysław, pod nieobecność pana domu, tak dalece się zapomniał — było to może w dwa miesiące po ślubie — iż nie przeczuwającej nic złego Stasi chciał koniecznie zrabować całusa...

Pani Stanisława, dotknięta do żywego tą bezczelnością, w szlachetnem oburzeniu wskazała mu drzwi, zakazując równocześnie raz na zawsze przestępywania ich progu...

Była ona uczciwą i bogobojną niewiastą, znała tylko prostą drogę cnoty i obowiązku, manowce, na które inne kobiety tak często zbaczają, były jej obce. Z oburzeniem odwracała twarz, gdy coś podobnego ujrzała w teatrze lub kinematografie, odrzucała też ze wstrętem książkę, w której na coś podobnego natrafiła.

Rzecz wobec tego łatwo zrozumiała, że po powrocie męża opowiedziała mu wszystko ze łzą w oku.

Można sobie wyobrazić wściekłość Karola, gdy się dowiedział o niecnej, choć tylko usiłowanej, zdradzie przyjaciela... i to przyjaciela, na którego, jak sądził, mógł liczyć!

Między oboma przyszło nawet do ostrej sprzeczki, koniec końcem Władek uznał swój okropny błąd, upokorzył się, na klęczkach przeprosił żonę przyjaciela, którą tak ciężko obraził i przysięgał na wszystkie świętości, że nigdy jej już nie ubliży.

Wobec tego przebaczono winowajcy, cofnięto wypowiedzenie mieszkania, a Władek zaczął dalej bywać codziennym gościem państwa Karolów.

I mogłoby się zdawać, że i jedna i druga strona zapomniała o zajściu. Między młodem małżeństwem a przyjacielem domu zapanowała pozorna, jak się zdawało, niczem nie zamącona zgoda.

Ale tak nie było! Pan Władysław nie zapomniał o tem, czuł do żony przyjaciela urazę i zaprzysiągł jej zemstę...

Tak minął rok, miodowe miesiące dawno się już ukończyły, między państwem Karolami powstawały dość często nieporozumienia i niesnaski. Znajomi, widząc to, kiwali głowami i mówili:

— Oho! Coś się popsuło w państwie duńskiem!

Trzeba zaś wiedzieć, że pan Karol, przy wszystkich swych zaletach, miał przecież jedną ogromną wadę. Był skąpym i to prawie do brudoty.

Ponieważ zaś Stasia, której w domu rodzicielskim na niczem nie zbywało, absolutnie nie mogła się pod tym względem do swego męża, choć go zresztą kochała serdecznie, zastosować, więc też nic dziwnego, że wskutek tego na horyzoncie małżeńskim zaczęły się od czasu do

Z pod znaku pantofla.

Podczas manewrów jeden z pułków piechoty znalazł się w tak krytycznem położeniu, iż nie pozostawało mu nic innego, tylko cofać się ciągle i cofać.

To zaczęło się nie podobać i widzom, którzy bacznie śledzili przebieg, a po chwili rozległ się z ich szeregów jakiś piskliwy głosik:

— Mój mężu! Proszę cię, zwycięż raz przecież!

Mądry człowiek.

— Więc pan ręczy mi za ten automobil?

— Tak jest... W godzinie dziewięćdziesiąt kilometrów...

— Pan się myli! Najpierw nie dziewięćdziesiąt, tylko sześćdziesiąt i nie kilometrów, tylko minut!...

Znawca sztuki.

Ona: Tem najnowszem wydaniem poezyi Mickiewicza zrobiłeś mi prawdziwą przyjemność. Szkoda tylko, że illustracye takie słabe.

On: Moja droga! Od jednego człowieka nie można przecież wymagać, by pisał ładne wiersze i pięknie rysował!

Wygadał się.

Pan Władysław, w sam dzień imienin panny Wandy, zgłasza się w jej mieszkaniu odświętnie ubrany, dzierżąc w dłoni wspaniały bukiet...

Nie zastaje jej jednak w pokoju, tylko jej braciszka.

— A gdzie siostra? — pyta ciekawie.

— Ona jest u siebie — odpowiada zagadnięty — stoi już od godziny przed lustrem i mówi: Ach, panie Władysławie, pańskie pytanie wprawiło mnie w taki kłopot! Nigdy nie byłabym się czegoś podobnego spodziewała!...

Pierwszy warunek.

— Ciekawa jestem, czy też z pana będzie dobry mąż?

— Tak mi się zdaje! Lekarz powiada, że mam bardzo krótki wzrok...

Zbyt drażliwa.

(Rzecz dzieje się podczas oświadczyn).

— Bądź moim aniołem!

— Fe! Wstydź się pan! Proszę być przyzwoitym!

— Ależ... dlaczego? Cóż złego powiedziałem!

— Pan myśli, że ja nie wiem, iż aniołowie chodzą bez ubrania?

Spóźniony sąd.

(Bajka).

**Dwa maleńkie, czubate kogutki,
Chociaż żyły ze sobą czas krótki,
Pełne buty,
Bój wiodły co minuty.
Bronią ich był dziób, ostrogá,
Skrzydło twarde;
A chociaż braćmi były dwa kogutki harde,
Uderzały na siebie, jakby wróg na wroga!
Kurnik tą walką zgorszony!
Więc sędziwe koguty i kwoki — „matrony“,
Cała rodzina kurza,
Wszystko się na nich oburza!...
Aż wreszcie, gdy zgorszenie było już za duże,
Sąd starsze koguty zwołały.
Zebrał się więc w komplecie na wielkie podwórze
Kurnik cały.
I sądzi — i roztrząsa obydwu ich winy
I szuka przyczyny,
Co ich do walki popycha.
Skończono sąd. Najstarszy z nich kogut sędziwy,
Brzmienie wyroku ogłasza.
„Sąd“ siedzi w piasku bez tchu, jak nieżywy,
Kwoczki tylko gdaczą z cicha. —
„Oba złośliwe, zwaśnione koguty —
Najwyższa rada nasza
Orzekła, żeby były ukarane
Za dowód buty“.
Na te słowa
Cisza zaległa grobowa...
Wtem... słychać pisk żałosny: obydwa kogutki
Na czas krótki,
Znów ślepą złością porwane,
Niewidziane przez nikogo
Uderzyły na siebie dzióbem i ostrogą!
Lecz kucharz je pochwycił — mocno za łby zdusił,
Do zgody zmusił!
Zato, że walkę wiedli nieostrożnie,
Wyrok w kuchni — lecz inny wydano:
Jeden dziś upieczony zostanie na rożnie,
Drugi w potrawce będzie ze śmietaną!**



Fatalne omyłki druku.

Z listu: Emil kupił swej żonie na imieniny parę prześlicznych **n**óżek z kotarami.

Ze sprawozdania: Na wczorajszej premierze artystki nasze ką**s**ały się formalnie w kwiatach.

Z podręcznika botaniki: Koko**t**y są to duże **g**rzechy, ale niezbyt zdrowe.

Z artykułu: Gardzić zatem nie wypada da**m**ami, które **la**s nam nadarza.

Z recenzyi: Koncertantka zjawiła się na scenie, trzymając w jednej ręce wspaniały bukiet, w drugiej **b**uty.

Z opowiadania: ...**h**alki tych pań nie były wcale zap**i**ęte i dlatego przedstawiały tak ponętny widok.

Z kroniki: Pogromczyni wykonywała dziwne eksperymenta z ogromną **ś**wicą.

Z raportu policyjnego: Barbara Grzmot po**wiła** dziś na placu Szczepańskim swego męża.

Między przyjaciółkami.

— Straszliwy człowiek ten mój Stefek! Jest po prostu nienasycony!

— Ach! Jakaś ty szczęśliwa!...

Dobra rada.

— Ach! Tak tu zimno, że doprawdy dzwonię zębami!

— To wyjmij je, moja droga...

Na cudzy rachunek.

Dwaj przyjaciele, Icek Kwargelduft i Jojne Smarowóz, idą ulicą obok kawiarni.

— Ty, Icek — powiada Jojne. — W kawiarni szedży ten hrabia, co mi jest winien dziesięć koron. Idź i odbierz od niego, to ja tobi dam dwa korony...

Icek poszedł, po chwili wraca mocno zmieszany.

— Dostałeś? — pyta Jojne.

— Tak jest!... Dwa razy w pisk!

— Nu... i co ty na to?

— Nic! Albo on mnie był winien? Co mnie to może obchodzić?...

czasu pojawiać chmury i to coraz czarniejsze, a nawet nieraz połączone z grzmotami.

Przyszło wreszcie do tego, że między małżeństwem wyrobiło się pewne wzajemne zobojętnienie, które z każdym dniem coraz bardziej się wzmagało.

Podstępny przyjaciel domu, widząc to, zacierał tylko ręce, cieszył się w duchu z tych scen małżeńskich i uznawał je za wodę na swój młyn, w którym przygotowywała się straszna zemsta...

Przeprosił ją, to prawda, przebaczyła mu, obiecała zapomnieć i pozwoliła dalej bywać w swym domu, ale on nie mógł tego zapomnieć, że go tak strasznie wobec najserdeczniejszego przyjaciela zblamowała...

I jemu zaprzysiągł zemstę, wszak przed nim musiał się upokorzyć i wyznać swą winę, a to chyba nie może być przyjemnem!

A sposobność właśnie się nadarzała!

Pewnego popołudnia zaszedł pan Władysław do mieszkania Stasi, zapewniwszy się poprzednio, że męża jej teraz w domu niema.

Zastał ją przygnębioną i zapłakaną...

Siedziała nad robótką, a łzy strumieniem spływały na kanwę...

A miała słuszną łez i smutku przyczynę. Była winną krawcowej i modystce i to dość poważną kwotę, co zaś najważniejsze, mąż, ten skąpy Karol, który na każdym kroku zalecał jej oszczędne obchodzenie się z groszem, nic o tem nie wiedział!

Tymczasem zaś obie wierzycielki z dnia na dzień stawały się coraz natrętniejszemi, a dziś nawet zagroziły, że jeśli ich nie zaspokoi, rachunki przedłożą mężowi.

A oczyma duszy widziała już, jaka to będzie awantura!

Jeśliby się Karol o tem dowiedział, wywołałoby to w domu istne piekło!

To być nie może!... Ale, jak tu sobie poradzić, skoro ona nie rozporządza żadnymi funduszami, a każdy cent na prowadzenie domu wydziela jej mąż i każe sobie z tego składać najdokładniejsze rachunki. W tem położeniu o robieniu jakichś oszczędności nawet mowy być nie może!

Chybaby co zastawić?... Ale co?... Ma wprawdzie trochę klejnotów, ale o nich wie mąż, który miałby wówczas bardzo słuszny powód do awantury.

Gdzież więc szukać ratunku i pomocy?...

Pan Władysław nie był wcale odgadywaczem myśli, ani zbyt głębokim psychologiem, wiedział jednak, gdzie szukać powodu jej łez i smutku.

Jej opłakany stan finansowy był mu dobrze znany, on sam namówił wierzycielki pani Stanisławy, aby się energicznie upominały o swoje pretensye.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Władek na tych wszystkich komplikacyach zbudował swój plan zemsty.

Pełen współczucia zaczął się dopytywać o przyczynę jej smutku — ona milczała, nie mogła mu przecież wyjawić prawdziwej.

Władek pocieszał ją dalej, twierdząc, iż nie może sobie nawet wyobrazić, by tak piękna i młoda kobieta mogła mieć rzeczywiście powody smutku.

Nie powinna znowu każdej drobnostki odrazu tak seryo brać do serca, on sam byłby nad wyraz szczęśliwy, gdyby mógł w czemkolwiek jej dopomódz. A gotów jest u jej stóp złożyć wszystko, co posiada, zaryzykować nawet swoje życie...

I tak potrafił ją przekonać i natchnąć ufnością do siebie, a zarazem skierować rozmowę w ten sposób, by coraz bliższym był wygranej, że wreszcie wyznała mu wprawdzie nie wprost, ale przez ogólniki, że cierpienie jej jest finansowej natury.

Wówczas on od słowa do słowa przeszedł do dość wyraźnych oświadczyn swych płomiennych afektów, wreszcie wystąpił z propozycyą: za jednego jedynego, danego dobrowolnie całusa, gotów jest ofiarować jej pięćset koron!

Gdyby w innych warunkach posłyszała podobną propozycyę, pokazałaby mu znowu drzwi, tak, jak przed rokiem, teraz na tę sprawę zapatrywała się daleko praktyczniej i zimniej.

Pięćset koron to akurat tyle, ile potrzebowała, nawet jakaś drobna kwota zostałaby jej na drobne wydatki. Nie potrzebowałaby prosić męża o pieniądze na każdą drobnostkę.

Byłaby uratowaną!

Choć w duchu nazywała to zdradą małżeńską

Przykre kłopoty, pewnej kokoty.

Panowała ospa w mieście —
Pewna piękna ballerina
Do doktora swego spieszy
I przemowę tak zaczyna:

— Chcę się szczepić, mój doktorze,
Bom tą ospą przerażona,
Ale w miejscu niewidocznem,
Przedewszystkiem — nie w ramiona!

Blizna może mnie zeszpecić,
Pan konsyliarz mnie rozumie,
Bo ramiona i biust cały
Dobrze widać w mym kostyumie.

Byłoby to przykrem dla mnie —
(Sam pan doktor chyba przyzna),
Gdyby rzekł ktoś o mnie: „Ładna!
Lecz ją szpeci z ospy blizna!"

A pan doktor rzekł uprzejmie:
— Ach! bez kwestyi! ja wiem o tem!
Zaszczepimy więc na nóżce,
Gdzie nie widać pod trykotem!

— Co? nie widać? — ironicznie
Krzyknie piękność bez ogródek.
— Czy pan myślisz, że ja w domu
Żyję może, jak odludek?!...

Chat-Noir.

Z teki zecera-filozofa.

Stary mąż jest w małżeństwie omyłką druku, przyjaciel domu korektą.

Na balu służby.

— Więc panna Helcia mnie nie pocałuje?
— Jeśli pan już tak chce koniecznie, to chyba muszę! Lecz gdzie mam pana pocałować?
— No, gdzieś tak, bym się potem mógł oblizać!

Roztargniony.

— Nie masz pojęcia, jaki ten Stefan jest roztargniony! Niedawno szedł do znajomych na proszoną kolacyę, powiadam mu więc, aby się kłaniał pani domu, służącej dał koronę, a wrócił do domu z parasolem... I co pani powie... Ukłonił się parasolowi, pani domu dał koronę, a służącą przyprowadził ze sobą...

Przestroga.

Wróciwszy do domu, zastał pewien obywatel na biurku list następującej treści:
— Radzę Panu odprawić służącego, bo jest niedołęgą. Na dowód, ukradłem wobec niego zegarek. To Pana chyba przekona!

Z życia zakochanych.

Panna Lola była już zaręczoną z swym kochanym Pawłem, lecz się o coś nań pogniewała i w irytacyi odesłała mu pierścionek.

Wieczorem zgłasza się ekspres z listem od niego.

Drżącą ręką rozrywa kopertę i czyta, co następuje:

„Najdroższa! Boleść, jakąś mi sprawiła, przechodzi moje siły! Żyć bez Ciebie nie mogę, wobec tego przed kwadransem zażyłem truciznę, której skutki zaczynam już odczuwać... W chwili, gdy będziesz czytać tę kartkę, będę już wykreślony z grona żyjących... Spodziewam się, że bodaj jedną łzę poświęcisz Twemu nieszczęśliwemu, a tak przedwcześnie zeszłemu z tego świata

Pawłowi".

Panna Lola opuściła kartkę na kolana, załamała ręce i miała już wybuchnąć rzewnym płaczem, gdy tymczasem oczy jej spostrzegły posłańca, który list przyniósł. Stał spokojnie przy drzwiach, mnąc w rękach czapkę.

— A na cóż wy jeszcze czekacie? — zapytała.

— Ten pan powiedział mi, że mam mu przynieść odpowiedź! Czeka pod Hawełką! — odpowiedział dobrodusznie zagadnięty.

Naturalista.

Ona: Dawniej podziwiałeś mój głos, przed ślubem mówiłeś, że śpiewam, jak słowik, a dziś nie chcesz wysłuchać jednej piosenki!

On: Tak... powinnaś jednak pamiętać, że słowik nie śpiewa nigdy w gniazdku!...

W szkole.

Na wieś zjeżdża inspektor na wizytacyę szkoły i trafia na godzinę religii.

Ksiądz katecheta egzaminuje, inspektor dorzuca także ze swej strony pytania.

Wreszcie, zwracając się do jednego z chłopców, rzecze:

— Powiedzno mi, mój mały, dlaczego prosimy Pana Boga o chleb codzienny, a nie miesięczny, albo roczny?

A chłopiec na to:

— Bo... boby spleśniał i zesechł, a tak jest zawsze świeży!

W szkole.

Nauczyciel: Iksiński! Jak się oblicza powierzchnię trójkąta?

Uczeń (do siebie): Ten bałwan zwaryował chyba... Skąd ja mogę wiedzieć o tem?

Nauczyciel: No! Nie mrucz pod nosem, ale powiedz głośno... Może to prawda?...

Co to jest szyk?

Kucharka: Mój kochany, powiedz mi, co to jest właściwie szyk?

Kapral: Szyk?... Hm! Jakże to powiedzieć pannie Wikci... Szyk?... Proszę dobrze mi się przypatrzyć... to jest szyk!

Opowieść sielska.

Pytały się Maćka chłopy,
(Jak się nieraz w karczmie zdarza),
Co on robił, że bogatą
Hankę zawiódł do ołtarza?

Maciek, jako że chłop mądry,
Uśmiecha się głupkowato,
Poskrobał się po łbie rudym
I tak ludziom prawi na to:

— Jechaliśmy z Hanką bez las,
A po deszczu droga ślizka,
Hań pod jodłą na gościńcu
Wywróciły wóz koniska.

Hanka wrzasła — z wozu leci,
Ja, nie wiedząc, co się czyni,
Zanim konie wstrzymać mogłem,
Już jak długi ległem przy niej!

Ano mówię: Widzisz Hanuś!
To nie ujdzie już na sucho!
Gdy nie weźmiesz mnie za chłopa,
To ci wieczny wstyd dziewucho!

Hanka, niby nie od tego,
Ale mówi przez swawolę,
Niby, że mnie nie chce — chyba,
Gdy ją siłą przyniewolę.

Nie było tu co wagować,
Nie było co myśleć wcale,
Hanka miała cztery morgi,
Całą stówkę i korale!...

Chat-Noir.

---

i potępiała sama siebie, z drugiej przecież strony tłumaczyła się przed samą sobą. Czyż wobec niecnego postępowania męża może mieć jakie skrupuły?

Czyż ten potwór, nie mąż, nie zasługiwał na jeszcze gorszą zdradę?

Ponętna perspektywa... Temi pieniądzmi popłaci swoje długi i przestanie się martwić i kłopotać.

Sumienie i serce odzywały się wprawdzie, ale coraz słabiej, wreszcie, po długim namyśle, zawstydzona, zgodziła się...

Szczęśliwy Władek wyjął z portfelu pięćset koron i wręczył je drżącej pani Stanisławie, a ta, dotrzymując warunków umowy, nadstawiła swe różowe usteczka do całusa.

On nie dał się prosić, wszak zbliżała się chwila, w której mógł zaspokoić swe najtajniejsze pragnienia, a zarazem zemścić się na obojgu...

I nie poprzestał na jednym pocałunku. Całował jej wargi, jej oczy, jej włosy, całował jej szyję łabędzią i jakby utoczone z alabastru ramiona...

A ona nie miała siły oprzeć się, choć widziała, że to przekracza granice ich umowy.

Wtem rozległ się za drzwiami odgłos zbliżających się kroków.

— Boże! Mój mąż! — zawołała przerażona. — Znam jego chód!

Władek, nie czekając, zniknął szybko za bocznemi drzwiami, a był już czas najwyższy, gdyż pan Karol wchodził właśnie do buduaru...

Pani Stanisława stała, jak oszołomiona, z oczyma wlepionemi w podłogę. Zaledwie miała tyle czasu, iż owe fatalne pięćset koron, dowód jej winy i nagrodę za nią, mogła ukryć w kieszeni swej sukni.

— Moja Stasiu! — rzekł pan Karol z odcieniem pewnej niechęci — jak ty wyglądasz! Czerwona jesteś, jak burak! A tyle razy mówiłem ci, byś nie kazała tak palić w piecu! I pieca szkoda, bo się przepali i węgli, a te są coraz droższe!... Nie dziwię się teraz, że nie wystarcza ci pensya, jaką ci przeznaczyłem... Dla ciebie trzebaby majątku Rotszylda!... Ja temu nie podołam!...

Pani Stanisława była w dalszym ciągu tak nieprzytomną, iż stała, nie mogąc wymówić ani słowa.

Ale mąż, nie zważając na jej zakłopotanie, rzekł z miną seryo:

— Czy nasz przyjaciel Władek był już tutaj?

W biedną kobietę, jakby piorun uderzył, zachwiała się i omal nie upadła. Po prostu nie wiedziała, co się z nią dzieje.

— Tak jest! — odparła, prawie mdlejąc.

— A czy dał ci pięćset koron?

Teraz pociemniało jej przed oczyma, była pewną, że on podsłuchał ich rozmowę pod drzwiami i wie wszystko!

Po co miała się wypierać?

— Tak!... — wyszeptała cichutko.

— W takim razie daj mi te pieniądze! — mówił dalej mąż.

Apatycznie wręczyła mu pieniądze, które od Władka otrzymała.

A on na to, z miną już weselszą:

— No, moja Stasiu! Widzisz, jaką niesprawiedliwą jesteś w osądzaniu Władka! A nie zasługuje na to, bo to człowiek rzeczywiście szlachetny, uczciwy i punktualny... Ot, wczoraj pożyczył sobie odemnie pięćset koron i zobowiązał się, że je zwróci dziś przed wieczorem. Jeśliby mnie nie zastał, miał tobie doręczyć... Czy nie dotrzymał słowa?...

A ona stała, nie mówiąc ani słowa, tylko drżąc z gniewu i zaciskając kurczowo swe drobne piąstki, cn zaś kończył:

— Tak, moja droga! — pozory często mylą! Bądź odtąd dla niego grzeczną i uprzejmą!...



Niezbity dowód.

Młody człowiek ubiega się o rękę pewnej panienki.

— Hm! Mnie się zdaje — rzecze jej ojciec, wysłuchawszy go — żeś pan jeszcze za młody, aby wstępować w związki małżeńskie!

— Ależ! Panie dobrodzieju! — tłumaczy się zagadnięty. — Ja mam przecież już tabes!...

Podczas egzaminu.

— Czy mógłby mi kandydat powiedzieć, na jakiej zasadzie prawnej opierała się u starożytnych Germanów instytucya pierworodztwa?

— Na *jus primae noctis*... proszę pana profesora.

Był raz pewien staruszek...

(Materyały do komedyi obyczajowej).

Akt I. Pan Zygmunt w przedpokoju damy swego serca. Służący podaje mu mały pakiet i list, zaadresowany do niego. Rozrywa pospiesznie kopertę i czyta:

„Kochany! Nie gniewaj się, żem Cię zaprosiła na dzisiejszy obiad między tych nudziarzy! W nagrodę za to przesyłam Ci klucz od mego mieszkania. Przychodź, ale niezbyt późno! Czeka Cię z utęsknieniem

Twoja

Zofia".

Zygmunt ucałował wonny papier, wraz z pakietem wsunął go do kieszeni zarzutki i wchodzi do salonu.

Akt II. Godzina jedenasta w nocy. Goście pani Zofii zabawiają się w różny sposób. W saloniku do palenia w miłej zgodzie siedzą pan Zygmunt i bardzo poważny staruszek, profesor uniwersytetu i członek czynny Akademii.

Profesor zwraca się do młodzieńca ze słowami:

— Ogromnie się cieszę, że pana tu widzę! Jest to dowodem, że nie jesteś takim lekkoduchem, jak reszta dzisiejszej młodzieży! Postępuj tak dalej! A przedewszystkiem posłuchaj głosu doświadczonego człowieka: Niema nic gorszego, jak noce, spędzone poza domem! To śmierć młodości i żal spóźniony na starość... Ale żegnaj! Spieszę do domu, aby dokończyć rozprawy o prawach agrarnych Tyberyusza Grakcha... Jutro mam ją przedłożyć na posiedzeniu!

Profesor wychodzi, Zygmunt rozmawia z gospodynią, potem z innymi gośćmi.

Akt III. Ogólna mobilizacya. Goście udają się do domów, w garderobie ruch. Zygmunt szuka swej zarzutki, ku swemu przerażeniu dowiaduje się, że jej niema. Widocznie zabrał ją roztargniony profesor, zostawił bowiem swoją. Ze względu na ów klucz postanawia, pomimo spóźnionej pory, pójść do profesora.

Akt IV. Przedpokój w mieszkaniu profesora. Godzina 12 minut 30 w nocy. Zygmunt dzwoni po raz czwarty, czy piąty, wreszcie otwiera mu zaspany służący. Wywiązuje się między nimi dyalog:

— Niestety, nie mogę pana profesora obudzić, bo go niema!

— Jakto! Przed godziną prawie wyszedł, mówiąc, że spieszy do domu!

— E... To tylko tak mówił! On nigdy nie wraca do domu wcześniej, jak koło ósmej rano!

— Gdzie go mogę w takim razie znaleźć?

— Albo ja wiem!... Pan profesor lubi odmianę.

Zygmunt w pelerynie profesora zrozpaczony spieszy do domu.

Akt V. Godzina jedenasta rano. Zygmunt w swem mieszkaniu odczytuje list tej treści:

„Odeślij mi natychmiast klucz. Czy sądzisz, że pozwolę się bezkarnie obrażać?... Między nami wszystko skończone!

Zofia".

Za chwilę zgłasza się służący z zarzutką, gdyż pan profesor powrócił dopiero teraz do domu. Pachnie ona jakiemiś perfumami, ale klucz jest w kieszeni. Oddaje go służącemu z poleceniem odniesienia do pani Zofii, a sam zasypia i śni o Teberyuszu Grakchu i błogosławieństwie spędzonych przy domowem ognisku nocy...



A czy państwo wi, jakie jest podobieństwo między naszą arystokracyą a ziemniakami?... Ni?... To ja powim!... U jednych i drugich, co najlepsze, to w ziemi!

⊙ ⊙

A jaka jest różnica między kapeluszem a lewatywą?... To tak łatwo zgadnąć!... Kapelusz nosi si na głowę, a lewatywa jest zwykle z blachy.

⊙ ⊙

Te kubity to lubią być czasem złośliwe! Ja powiadam kiedyś mojej żonie: Surciu! Ja ciebi mówię, że jeśli tak dalej pójdzi, to będę musiał pokazać, że jestem mężczyzną!... a ona najspokojniej na to: Byłby już najwyższy czas!

⊙ ⊙

Powiadają, że dwu robi to samo, a przecież nie jest to to samo!... Racya!... Naprzykład mąż i przyjaciel domu.

⊙ ⊙

Chłop strzela, wiatr niesie.

⊙ ⊙

Lepszy wróbel w garści, niż umarłemu kadzidło.

⊙ ⊙

Kubita, to jest kubita.

⊙ ⊙

Dyabeł potrzebuje dziesięć godzin, aby przegadać jednego mężczyzny, a jedna baba w jedny godzyny potrafi przegadać dziesięciu mężczyzn i stu dyabłów.

⊙ ⊙

Człowiek nie żyje na to, aby jeść, a je na to, aby go brzuch bolił.

⊙ ⊙

Nie powinno si łaskotać komara pod ogon, bo to jest bardzo niebezpiecznie. Może kopnąć.

⊙ ⊙

Serce kubity to jest akurat to samo, co hala Sukiennic. Kto przez jedny strony wszedł do środka, ten nie wi, kto wyszedł przez drugi strony. Ta jest tylko różnica, że Sukiennice są w nocy zamknięte.

⊙ ⊙

Idź pomału, z pewnością si spóźnisz. Jeśli masz dużo czasu, możesz jeździć z tramwajem. To na jedno wychodży.

⊙ ⊙

Gęsz to jest bardzo niewinne stworzenie. Ale, jak si mówi do panny, że ona jest gęsz, to ona si bardzo obraża i gniewa.

⊙ ⊙

Żymna kąpiel jest bardzo przyjemna, ale trzeba przedtem wodę porządnie zagrzać.

Autentyczne opowieści.

Pewien szlagon ze wsi przyjechał do Krakowa i rzecz prosta, wybrał się zaraz na oglądanie miejskich osobliwości.

W drodze towarzyszył mu i wierny jego sługa, Kuba, woźnica i kamerdyner w jednej osobie.

Zwiedzili także i wystawę obrazów.

Kuba rozdziawił gębę, widząc takie cuda, lecz nie mógł sobie w żaden sposób wykalkulować, po co są właściwie ramy przy obrazach. Zapytał więc swego chlebodawcę o to:

— Chamie głupi — odpowiada na to obywatel z miną znawcy — przecież taki malarz musi wiedzieć, kiedy ma przestać malować!

Do rabina zgłasza się żydówka z prośbą o rozwód. Rabin pyta ją o przyczynę, ona milczy uparcie. Zaczyna ją więc indagować.

— No, może on ciebie bije? — pyta poważnie.

— Nie, rebelejben — odpowiada petentka.

— Może dzieci nie masz?

— Mam!

— To dlaczegóż nie chcesz z mężem mieszkać?

— Rebe! — wybucha wreszcie przybyła — mnie się ciągle zdaje, co mój mąż nie jest ojcem od mojego ostatniego dżecka...

Podczas walnego zebrania członków i członkiń pewnego dobroczynnego towarzystwa, jeden z mowców wyraził się w sposób następujący:

— A chyba przyznacie mi, szanowni państwo, że tam, gdzie pracują do spółki mężczyźni i kobiety, prędzej, czy później, muszą być tej pracy owoce...

Huczne oklaski nagrodziły ten zwrot natchnionego mowcy.

W zadaniach naszych pociech, zwłaszcza rodzaju żeńskiego, znajdujemy często kwiatki stylistyczne tego rodzaju, iż nie powstydziłby się ich najlepszy humorysta.

Onegdaj pokazywano mi wypracowanie pewnej seminarzystki na temat: „Opis jeziora". Wyczytałem tam, co następuje:

„W przeźroczystej toni jeziora odzwierciedla się cała okolica. Na drugim brzegu doją pasterki krowy, w wodzie widać to jednak na odwrót...

Dla amatorów zagadek mam w zanadrzu jedną, bardzo ciekawą: Ślub pewnej pary odbył się w styczniu, w październiku zaś tego samego roku byli oni rodzicami dwojga dzieci, które jednak nie były bliźniakami. Dodać należy, że czas narzeczeństwa spędzili zupełnie poprawnie, dzieci były ich własne, a nie przybrane lub wzięte na wychowanie... Aby ktoś zbyt nie łamał sobie głowy, co mogłoby mu zaszkodzić, podam rozwiązanie: Początkowo urodziły im się trojaczki, ale jedno z nich zmarło!...

Powód pojedynku.

— Czy to prawda? Podobno mecenas ma się pojedynkować z doktorem Stefanem?

— Tak jest.

— Przecież to tacy przyjaciele! A o cóż poszło!

— O głupi katar?

— O katar?... Nie rozumiem!

— Tak! O katar! Doktor Stefan, który odnajmował pokój u mecenasów, kichnął tak głośno w sypialni mecenasowej, aż jego obudził!

Racya.

Malarz: Pan powiada, że mój obraz jest do niczego? Ciekawy jestem, jak można wydawać o tem swój sąd, skoro się dotąd ani jednego obrazu nie wymalowało!

Krytyk: Głupie gadanie, kochany panie! To zupełnie to samo, jak gdyby mi kto powiedział, że nie mogę uznać, czy jajko jest świeże, czy nie, ponieważ dotąd ani jednego nie zniosłem!



— Kabalarka przepowiedziała mi, że mój przyszły mąż będzie bardzo bogaty, zapomniałam się jednak spytać, jak się pozbyć obecnego!



— Powiadają teraz, że panna jest dopiero wtedy dojrzałą, gdy zda maturę, a mnie mówił mój kuzynek, gdy miałam lat piętnaście, że już jestem dojrzałą!



— Dlaczegóż pani tak się ręka trzęsie?
— Widzi pan, to już familijne! Moja matka była w balecie!



— Niech tam sobie moje koleżanki mówią, że niema to, jak kawalerya, ja tam powiadam, że piechota jest i punktualniejsza i wytrzymalsza!



— Nie, ta Stefka to ma dopiero bajeczne szczęście... Ledwie umarł jej mąż, już się jej trafia drugi i to do tego ślepy, głuchy, a bogaty!



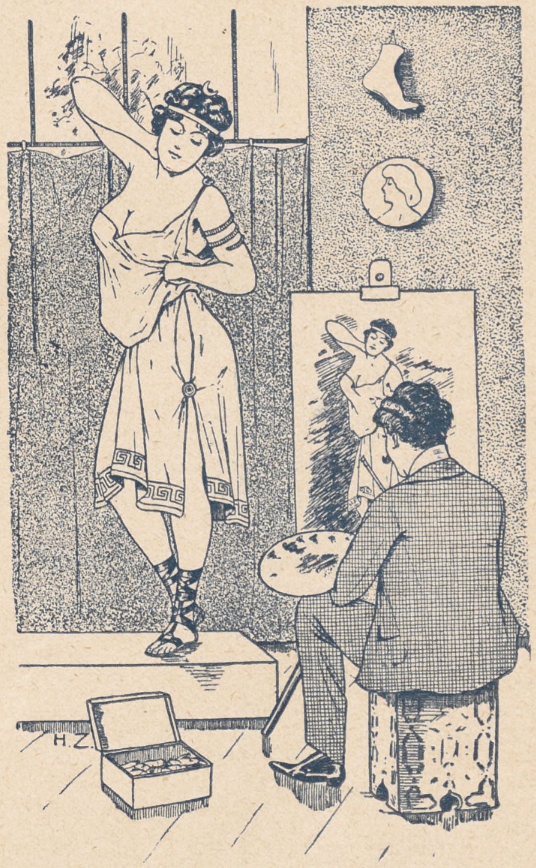
— Czy to może była koleżanka redaktora po piórze, bo się tak oglądała?

— Nie! Zdaje mi się jednak, że to będzie koleżanka pani po fachu!



— To mi się jednak nie podoba. Pani przed chwilą rozmawiała zbyt poufale z jakimś mężczyzną!

— Ależ... to był przecież mój mąż!



— Jak to? Nie możesz znaleźć nabywcy na ten obraz?... Nikt się jeszcze nie pytał?

— Owszem, pytali się, ale tylko o twój adres...



Ferdek Eleuteryk.

Jeszcze nie ucichnoł ten pieron, który uderzuł w nasze społeczyństwo przez Kanaljan-Facypik, a tu znów drugie nieszczyńście, bo zamkneni Arona Gajera, menża zasług ogromnych kole rozwiniencio naszygo krajowygo handlu i przemysłu.

Prosze mi być takigo pokazujoncym, kto Arona nie zno! Wieldzy państwo i różne mikrne osobniki zostajom z nim w handlowych stosonkach, sprzedajom mu, co sie do, kupujom od nigo, co mo.

Naród obdarzo go tyż zaufaniem, a najlepszyjszy tygo dowód doł chyba wtedy, kiedy był do urny wyborczyj spieszoncy i głosy na nigo oddajoncy. I byłby pon Aron pojechoł do Widnia, jako nasz repryzentant, choć na kiełbase wyborczom nie ochfiarowoł ani fajgla, gdyby nie jentryga poletycznych nieprzyjaciół.

Konserwatysty, dymokraty z pod różnych forengli, endeki, lodowce, nawet socyjały były se grabe podajonce, aby ino utroncić pana Gajera, którymu w ten dziń skradziono ni mnij, ni wiencyj, tylko przeszło pińćset głosów. W godzinie duchów zwycinżyły nieboszczyki, Aron był w mnijszości ostajoncy.

Ale on, skromny, jak to mówiom, niczym jakiś Arystydes, a obewatel, kochajoncy swoje ojczyste miasto, niczym ten rzymski Beringer, co sie nazywoł Kato, powiedział se ino: Aronciu, sztyl! Siedź czycho, oni ciebie bedom jeszcze znajdować, ty musisz jeszcze do góry wylizać!

I oddoł sie niewdzincznyj, ale cichyj pracy, bo wcionż kupowoł i lokajskie fraki i dymokratyczne marynary, ale nie zrobiuł na tym nijakigo jenteresu. Choć z poczontku było dużo sprzedajoncych, potym były cinżkie czasy przychodzonce i nikt nie chciał być kupujoncym, chyba na kredyt, a Gajer tygo nie lubi. On robi tylko gotówkowe jenteresy. A mo słuszność, bo, jak som jest mówioncy:

— Jak ja idem do trafike od pana radcego Bujańskiego po kuba, to ja musze być zaraz za sztuke po jedynaście halerzy płaconcy, na *szarf* ja tam nic nie dostanę!... Albo jak ja chcem wypić blaszke szabesbronf... także trza zaraz płaczycz! Jak pan dobrodżyj chce chodżycz z przeproszyniem w portugalie i marynarke, to trzeba mieć na to hopy!

W jenteresie był mu pierworodny syn pomagajoncy, który zwidziuł już kawoł świata, ale przecie miłość ojczystygo grodu przygnała go nad Wisłę, to jest, jeżeli mam być dokładnie mówioncy, na ulice Śpitalnom, która wraz z Małym Rynkiem jest, że sie tak bende wyrażajoncym, głównym terenem operacyi finansowych i handlowych taty Gajera.

Tutaj oba w miłyj zgodzie byli pracujoncy, aż tu, jak pieron z jasnygo nieba spada na Kraków jakiś hamerykański Szerlok Holmes, ale na dwu nogach i bez ogona, a nawet bez wąsów i zaczyno szukać takigo Anglika, który był w banku fałszywe czeki hamerykańskie miniajoncy.

Nitke mioł w grabie, trza było dońść do kłembka, a tym kłembkiem, pokozało sie, był pon Aron Gajer, który w jakijś staryj marynarce, którom kupiuł od wychodźcy z Hameryki, był te właśnie stare czeki znajdujoncy i, aby sie nie marnowały, posłoł je do banku.

A, jako że lo policyji nima nic świntygo, zaprosili bidnego Arona „pod Teligrof“, a tam pon Karcz prosiuł go siedzieć...

Pon Aron sie wypraszoł, tłumaczuł, że woli stać, ale pon Karcz mu na to:

— Mogom pana nogi boleć, bo to bedzie troche dłuży!

Przypomnioł se w tyj chwili pon Aron członka Izby handlowyj, pana Rescha, pon derektur od banku, Szenker, był mu na myśl przychodzoncy i pogodziuł sie ze swym losem, widzonc, że nie tylko on som musi cierpieć, jak on to mówi, za poletyke!

Ale doł se słowo honorowe, że skoro ino sprawa sie skończy, bez wzglendu na jij wynik, bedzie kurz ze swygo obuwia otrzepujoncy i pożegno niewdzinczny Kraków, który nie chcioł, czy nie umioł, poznać sie na nim.

Choćby mu ochfiarowali godność pryzydenta rozszyrzonygo i skurczonygo Krakowa, on sie na to nie zgodzi, ale pojedzie do Hameryki, a tam może spotko sie z panem Szenkerem.

Tak to u nos na prawdziwyj zasłudze trudno sie ludzie som poznajoncy, a potym dziwiom sie, że naród nie chce tu siedzieć, ale wandruje za morze, wszyćko mu jedno, czy Facypikiem, czy czym innym. Poleciołby nawet i balonem Zeppelina, ale to bardzo nieprzezpiecznie, bo to teroz na nie wybuchnena jakoś zaraza. Palom sie jeden po drugim, ale nie tak, jak jo nieprzymirzajoncy do mojij Mańki. To ino najgorsze, że przy paleniu sie penkajom, a mnie to jeszcze ani razu nie było sie przydarzajonce. Okrenty zaś rozbijajom sie o skały.

Najtanij byłoby i może najwygodnij poknajać do Hameryki na piechty, ale cóż, kiedy dotond nima jeszcze mostu bez ocyan, a gdyby nawet był, to mógby sie zawalić! Niechnoby go dali ino którymu z naszych jenżynierów do roboty, on by mu już doł rade!

Ponieważ za kilka dni jest uroczystość iminin świntygo Mikołaja, przypominom sie łaskawyj paminci P. T. Czytelników i nadobnych Czytelniczek, jako iż jestem wszelakie pryzenty w naturze, gotówce i t. d., jak co roku, przyjmujoncy.

Bliższy adres wiadomy.

Adje!...



Szczęśliwy fotograf.

Ach! fotograf to szczęśliwiec,
O czem świadczy najwymowniej,
Że z kobietą piękną może
Sam się zamknąć w swej pracowni.

Ach! fotograf! to szczęśliwiec,
Ach! szczęśliwiec to nielada,
Bo kobiety najpiękniejsze
Sam pozuje i układa!

Ach! fotograf — to szczęśliwiec,
Nad wyrazy, nad pojęcie,
Bo mu jeszcze za to płacą,
Kiedy z kobiet robi „zdjęcie!“

Chat-Noir.

Z mowy obrońcy.

— Jeśli sobie, szanowni panowie przysięgli, przedstawicie, że mój klient przed paru laty złamał nogę, że oddawał się pijaństwu, że był trzy razy żonaty, a każda żona go oszukiwała, że teściowa wybiła mu przed rokiem dwa zęby a przy ostatniem włamaniu został przychwycony na gorącym uczynku, to musicie przyjść do przekonania, że tego człowieka wiecznie jakieś fatum ścigało!

Mądre myśli zakatarzonego.

Moralność dzisiejszych czasów jest cierpliwą i miłą starszą damą, zakrywającą wprawdzie także czasem oczy, ale tylko z ...dyskrecyi.

Małżeństwo jest czasem początkiem miłości, dla... tego trzeciego.

Nagrobki cnoty najczęściej kupuje się u jubilerów.

Piękny profil jest często tylko miłą winietką bezwartościowej książki.

Do serca wolnego trudniej wprowadza się miłość, niż do serca właśnie opuszczonego.

Listek figowy był pierwszą modą. Zarzucono ją tylko dlatego, iż zbyt była tanią.

Nieszczęśliwy pyta się zawsze: Dlaczego los mnie prześladuje? — szczęśliwy natomiast nie zapyta nigdy: Czym na to zasłużył?

Naturaliści są tego zdania, że natura nie jest jeszcze dość naturalną.

Zasady, to tylko wymówki wobec samego siebie.

Trzy razy jest się w życiu dzieckiem: w dzieciństwie, w miłości i w starości.

Dźwięk posagu nie zawsze zgadza się z tonem serca.

Sercem mężczyzny powinna rządzić kobieta, głową kobiety mężczyzna.

Troska jest rodzaju żeńskiego i dlatego nieraz tak trudno się jej pozbyć.

W miłości znają się ludzie nawzajem, w małżeństwie uczą się dopiero poznawać.

Logika serca jest najniebezpieczniejszą, ponieważ brak jej zupełnie logiki.

Kobieta, która cię kocha, zna tylko te z twych błędów, które ci może wybaczyć.

Przyjaźń z niejedną kobietą rozbiła się już o... nową toaletę.

Żadna zazdrość nie jest tak rafinowaną, jak ta, którą budzi rzeczywiście piękna kobieta w sercach swych brzydszych przyjaciółek.

Miłość i prąd elektryczny mają to ze sobą wspólnego, iż znamy obojga skutki, ale rzadko wywołujące je przyczyny.

Kobieta i prawda najponętniejsze są bez wszelakich osłonek.

Nie ubijaj się zbytecznie o względy emancypantki. Znali je już Ateńczycy i nazywali... heterami.

Prawie każda kobieta, która w młodości swej była kokietką bez serca, w późniejszych latach dałaby wiele, by módz bodaj żyć wspomnieniem, iż prawdziwie niegdyś kochała i była kochaną.

To, co nas w miłości czyni szczęśliwymi, jest tem samem, co nas w niej może unieszczęśliwić.

W sądzie.

— Przyznaj się, że ukradłeś ten rewolwer!

— Tak jest! Nie zapieram się! Zrobiłem to dlatego, aby sobie życie odebrać!

— No, ale potem go zaraz sprzedałeś!

— Tak jest, panie sędzio! Aby mieć pieniądze na naboje!

Pewny znak.

Małżonek powrócił późno w nocy do domu, dzięki Bogu spała już jego lepsza połowa. Zadowolony wpakował się więc do łóżka i dopiero koło dziesiątej wystawił nos z pod kołdry.

— No! Ale też dogodziłeś sobie dziś w nocy! — rzecze doń czcigodna połowica — o której wróciłeś?

On próbuje się tłumaczyć, powiada, że bardzo wczas i że zupełnie trzeźwy.

— No... no... I ty jeszcze śmiesz mi się sprzeciwiać? A co znaczą te zapałki koło drzwi mieszkania? Jest ich ze dwadzieścia... Nie mogłeś widać trafić kluczem do zatrzasku!

Po wyjściu sekwestratora.

Panu X-owi zajęto ruchomości za długi. Przyglądając się zupełnie pustemu salonowi, powiada:

— No, ładnie nas jednak opustoszył!

A żona na to:

— Nieprawda, Stasiu? Teraz możemy wydać zabawę tańcującą, tyle mamy miejsca!...

Rzecz o balonie.

Balon kiepsko się popisał
W służbie srogiej wojny
I dlatego drży w obawie
Prusak niespokojny.

Ale oprócz śmiercionośnych
Zastosowań wielu,
Balon także da się użyć
W pokojowym celu.

A jeżeli zapytacie,
W jakim celu właśnie,
Z przyjemnością w kilku słowach
Zaraz to wyjaśnię.

Kto w godzinie nocnych duchów
Puka do okienka?
Komu z trwożnem serca biciem
Otwiera panienka?

To aeronauta dzielny,
Mówić chyba nie trza,
Co do swojej ukochanej
Przybywa z powietrza.

Drwi ze wszystkich rygli, zamków,
Mknie do swojej damy,
A stróżowi nie da grosza
Za otwarcie bramy.

— Puk! puk! — panna się zerwała
Na obydwie nóżki,
I na głos ukochanego
Porzuca poduszki.

I całusa daje chłopcu,
Jak zaliczkę z góry
I już w koszu razem siedzą
I mkną kędyś w chmury.

Balon płynie pod opieką
Amora widoczną,
Zanim jeszcze świt zabłyśnie
Na Marsie odpoczną.

Lecz podróży jaki koniec?
Jesteście ciekawi?...
Że ją prędzej, albo później
Na koszu zostawi!...

Chat-Noir.

Świadectwa.

Niniejszem, jako ojciec, stwierdzam, że syn mój, z powodu, iż miał klucze w brzuchu, nie mógł w domu obrabiać Dżewycy Orleańskiej.

Z poważaniem
Szymon Fingerhut.

Pośfiatczam, że syn mój Jaś nie może przyjść dziś do szkoły, bo umarł.

Wojciech Kozik
szewc męski i damski.

Mądry Staś.

— No! Jak będziesz grzeczny, to ci na Gwiazdkę bocian przyniesie braciszka!

— E... Nie zawracaj ojciec głowy! Kto to może wiedzieć, czy będzie brat, czy siostra!... A daj sobie ojciec też spokój z tymi bocianami. Gdybym to powiedział w szkole, oberwałbym dwóję z zoologii. Przecież na zimę odlatują od nas bociany!

Rezygnacya.

Pan Kleofas, pokłóciwszy się z żoną, poszedł nad Wisłę, aby się utopić. Był lipiec, gorąco dochodziło do trzydziestu stopni w cieniu.

Rozebrał się, jak się należy, ubranie złożył na brzegu, a sam wlazł do wody. Gdy mu już sięgała do szyi, namyślił się widocznie, bo rzekł:

— Ej... Jeszczeby mi kto buchnął garderobę... pal dyabli... lepiej wykąpać się tylko.

W domu.

— Ach, moja Kaziu! Ja cię ciągle posądzam, że ukrywasz przedemną jakąś tajemnicę!

— Nie, mamuńciu! Jak dotąd, jeszcze nie!

Wytłumaczył.

Ojciec: Nic się nie uczysz, widocznie po całych dniach uganiasz...

Syn: Owszem, zupełnie przeciwnie! Dzień i noc pracuję!

Ojciec: A od czegoś taki opalony?

Syn: Od... świecy!

Racya.

— Czy to możliwe, aby ona w tak młodym wieku miała tylu kochanków?

— Ależ nie! To niepodobna! Przecież nie miałaby na to czasu!

Ze słownika.

La chambre — gabinet.
La chambre separeé — gabinet dla pań.

W biurze.

Naczelnik: Proszę pana! Pan zawsze przychodzi do biura później od innych! Tak być nie może!

Urzędnik: Ale zato wychodzę pierwszy!

Naczelnik: A to co innego!... Przepraszam pana!

Mądry dzieciak.

— Mamo, czy misyonarz idzie po śmierci do nieba?

— Naturalnie!

— A dzicy ludzie także?

— Skądże znowu! Przecież to poganie!

— No, a jeśli dziki zje misyonarza?

Na grobie męża.

(Westchnienia wdowy).

— Ach! Przynajmniej nie będę się już troszczyć, co się z nim dzieje po nocach!...

W pracowni artysty.

— Czy pani pozowała już kiedy, wie pani... jakby to powiedzieć... no... całkiem bez ubrania?...

— O... nie! Nigdy całkiem się nie rozbieram! Przynajmniej pierścionek zostawiam na palcu!

Król, królowa — paź, minister.

Był król, co koroną złotą
Zdobił łysą swoją głowę,
Ten król stary miał za żonę
Domyślacie się — królowę.

A chodziła ta królowa
W szczerozłotym dyademie
I oboje tak dźwigali
Obowiązków ciężkich brzemię.

Król mądrego miał ministra
Do specyalnych swych poruczeń,
A królowa — pazia miała —
Był to pupil jej i uczeń.

Stary król się nie odznaczał
Wzrokiem ni pojęciem bystrem,
Gdy miał pisać, albo myśleć,
To wyręczał się ministrem.

A król stary, u którego
Znikła era już młodzieńcza,
Król nie wiedział, że go także
I młodziutki paź wyręcza.

A minister, chytry dworak,
Jak to płatni są pochlebce,
Panu swemu z drwiącą miną
Takie bzdury w ucho szepce:

„Zawsze poznam w tobie króla,
Czyś jest w łóżku, czy na tronie,
Choćbyś był, jak dziś, w koszuli
I w szlafmycy, nie w koronie!“

A królowa o tym czasie
Właśnie w pazia jest izdebce
I u stóp jej chłopiec klęczy
I z zachwytem cicho szepce:

„Zawsze poznam cię królowo,
Czyś jest u mnie, czy na tronie,
Choć, jak dziś — w koszulce jesteś
I w czepeczku, nie w koronie!“...

Chat-Noir.

Podsłuchane.

(Rzecz dzieje się w Parku Jordana).

Ona: O! Patrz pan... ślimak, a nie niesie domku na grzbiecie!

On (zbankrutowany kamienicznik): Pewnie mu, tak, jak mnie, sprzedano na licytacyi!

W XX. wieku.

On: Kocham panią! Czy chcesz być moją?

Ona: Proszę... pomów pan ze swym lekarzem!

Praktyczny.

Gospodyni (otwierając w nocy swemu lokatorowi): Niech pan będzie kontent, żem nie spała. Inaczej nie byłabym usłyszała pukania! Musiałby pan spać chyba na ulicy!... Ach ten ząb, jak on mnie boli! Muszę zaraz jutro rano kazać go wyrwać!

Student: Niechże pani da mu spokój! Ja tak często zapominam wziąć ze sobą klucz od bramy!

Modne małżeństwo.

— Bój się Boga, moja Wandziu! Za trzy dni już twój ślub z Władkiem, a dotąd nie postarałaś się jeszcze ani o mieszkanie, ani o jego urządzenie!

— A to poco?... Najpierw pojedziemy na sześć tygodni w podróż poślubną, potem do Zakopanego, potem do kąpiel, a tymczasem znajdzie się jakiś powód do rozwodu... Czyż nie szkoda wydawać niepotrzebnie pieniądze na takie głupstwa?



Z listów Hermogenesa Klapy.

Przewielebna Redakcyo!

„I dni mi jakoś płynęły niesporo“... z jednej strony cisnął mnie pantofel pani Pankhurst, która obchodziła się ze mną, jak ze swym mężem, z drugiej znów przejmowały mnie dreszcze, ile razy okręt zakołysał się silniej.

Byłem pewny, że to już wieloryb jaki grzmotnął w kadłub statku ogonem, albo że najechaliśmy na jaką górę lodową, których tutaj pływa więcej, niż starych trzewików i pantofli w naszej wonnej Rudawie. To mnie zaciekawiło, zwłaszcza, że nigdzie w blizkości niema miejskiej fabryki sztucznego lodu. Dopiero kapitan, z którym się zaprzyjaźniłem, wytłumaczył mi, że są to kawały lodu, które urwały się na brzegach Grenlandyi i płyną sobie ku południowej stronie, dopóki zupełnie nie stają.

Gdy pokazałem miss Pankhurst pomnik wolności na Ellis Island i zawiadomiłem ją, że jesteśmy już jedną nogą na lądzie stałym amerykańskim, odetchnęła i powiada do mnie:

— Wiesz, Klapa! Myślę już nad tem od dwu dni, w jaki sposób mam odbyć tryumfalny wjazd do miasta. Czytałam program uroczystości i dowiedziałam się zeń, iż amerykańskie sufrażystki, aby dać wyraz swej radości, mają zamiar wyprzęgnąć konie i własnoręcznie zaciągnąć mnie do hotelu... Ja przecież sądzę, że byłoby to daleko więcej mówiącem, gdyby tak udało się nakłonić bodaj ze czterech samców — was obrzydliwi mężczyźni mam na myśli — aby oni zajęli miejsce koni. To byłoby symbolem naszej wyższości nad płcią brzydką... Cóż pan na to?

— Ja, łaskawa pani, nic! Ja byłbym za tem, by po prostu pojechać z portu do hotelu tramwajem elektrycznym. To i taniej i wygodniej.

— Ba, ale niema parady, a wiesz, że nam głównie o to się rozchodzi!...

Na tem urwała się nasza rozmowa, trzeba bowiem było zabrać się do pakowania i porządkowania rzeczy, a wiadomo, ile ich ma ze sobą każda podróżująca kobieta, nawet sufrażystka. Naliczyłem sześćdziesiąt siedm kufrów, paczek i pakietów różnej wielkości, które musiałem przeważnie własnoręcznie powynosić na pokład. Ułożyłem z nich górę, większą z pewnością od tej, o którą rozbił się ś. p. Titanic.

Syrena okrętowa zahuczała, na pokładzie gwar zrobił się jeszcze większy, baby goniły, jak opętane, szukając się wzajemnie, okręt sapnął ciężko raz i drugi... Stanęliśmy.

Zbliżył się do nas mały okręt, na którym przybywała komisya, mająca sprawdzić stan zdrowia pasażerów i załatwić przedwstępne formalności.

Na powitanie wyszedł kapitan. Po chwili z jednym z przybyszów skierował się wprost ku nam. Wygolony Anglik, przypominający swem obliczem księżyc lub inną część ciała, zbliżył się do mej towarzyszki i, kłaniając się, zapytał:

— Pani Pankhurst?

— Tak jest! — odparła z dumą i godnością.

— Przybywam tu w imieniu pana prezydenta Stanów Zjednoczonych, Wilsona... — ciągnął dalej, a jenerałowa sufrażystek zdawała się z radości rosnąć, jak na drożdżach.

Nie mogąc dłużej wytrzymać, przerwała:

— Zapewne, aby mnie powitać!... Jak to uprzejmie z jego strony. Mówiłam zawsze, że Amerykanie to są dopiero ludzie...

— Owszem, ale łaskawa pani jest w błędzie — odpowiedział i łypnął na babę takiem okiem, aż mi się gorąco zrobiło. — Pan prezydent Wilson nadesłał z Waszyngtonu depeszę, w której oświadcza wyraźnie, iż nie pozwala na pobyt pani w granicach Stanów Zjednoczonych. Mam polecenie internowania pani na Ellis Island i odesłania stąd napowrót do Europy najbliższym okrętem!

— A to dlaczego? Ciekawam, jakie motywy kierowały nim, gdy pisał tę depeszę?

— Nie pisał, tylko dyktował! Pan prezydent wszystko dyktuje! — poprawił z uśmiechem. — Jeśli pani chce zaś poznać motywy, to mogę powiedzieć. My Amerykanie jesteśmy, proszę pani, praktycznymi ludźmi i wiemy o tem, że, jeśli baba dorwie się do polityki, to potrafi z domu mężowskiego zrobić piekło!... A my tego właśnie nie chcemy, nam miły jest spokój domowy...

— Hołota głupia!... — wyrwało się jej z ust. — Ach, gdybym mogła, wydrapałabym wam oczy!

— Widzę — odparł — że europejskie panie nie różnią się niczem od naszych. I w Ameryce są pazurki najpopularniejszą bronią niewiast!

— Możecie sobie zakazywać, lub nie, ja wysiadam na ląd i osobiście wniosę rekurs u prezydenta przeciw tak nieludzkiemu zarządzeniu!

— A ja pani powiadam, że pani nie wysiądzie, ale powróci spokojnie do Europy i stamtąd może pani rekurować, albo nie... Wolność Tomku w swoim domku!...

— A co będzie z Klapą?

— Z jaką klapą...

— No z tym Klapą, który ze mną jedzie! — to rzekłszy, wskazała na mnie palcem.

Spojrzał na mnie i zdjął czapkę.

— Więc to pan jesteś? — zawołał. — Jakże mi przyjemnie! Wiele o panu słyszałem i czytałem. Witam pana na lądzie amerykańskim w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych... Jest pan jego gościem! Mam pana pod eskortą odstawić do Waszyngtonu...

— O panie! Zbytek łaski...

— Pamiętajcie jednak — przerwała pani Pankhurst — że ze mną nie taka łatwa sprawa. Ho! ho! Ja niejednemu chłopu dałam już radę, nie przelęknę się więc i jakiegoś tam Wilsona... Już on mi się dostanie między palce! A wtedy biada ci, amerykański wstrętny samcze!...

Nie czekając na serdeczniejsze pożegnanie, wsiadłem do łodzi i podążyłem na brzeg, moja towarzyszka została na pokładzie. Pogroziła nam palcem, a potem z pogardą odwróciła się do nas tyłem i powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, ale tak, jak i Czytelnicy tego listu, dośpiewałem sobie w duszy.

Jestem więc w Ameryce, sam, wolny jak ptak!

Ściskam Was

Klapa.

Z sali sądowej.

Sędzia: Czy możesz pan naprowadzić na swą obronę jakieś okoliczności łagodzące? Faktem jest stwierdzonym, iż pan chciałeś się wynieść z restauracyi, nie zapłaciwszy za to, coś zjadł i wypił...

Oskarżony: Tak, panie sędzio! Nie byłbym tam poszedł, gdybym był wcześniej zobaczył, że nad drzwiami umieszczony jest napis: „Usługa skrzętna i uważna“...

Błoto.

(Bajka).

Raz, dwaj podróżni, w zawieruchę srogą,
Zziębnięci i zmoczeni,
Nie mając złamanego szeląga w kieszeni,
Szli sobie drogą.
Jeden i drugi już oddawna pości,
Mizerny, blady,
Gdyż głód doskwiera i skręca wnętrzności.
Więc zaczynają w biedzie szukać rady.
„Co robić mamy u licha!?“...
Jeden z nich woła,
„Deszcz leje, zimno i pusto dokoła,
A człowiek z głodu już zdycha!“
Wtem... patrzą, a przed nimi
Leży olbrzymi
Wór, cały wypchany złotem!
Złoto od światła promieni
Skrzy się i mieni!...
Lepsze nadzieje w nich znowu odżyły.
Cieszą się, biegną co siły
Do cudownego wora...
Aż tu niespodziewana czeka ich zapora:
Wór gęstem dookoła otoczony błotem!!
I chociaż zdobycz ponętna tak blizko.
Dojść do niej trudno! Nie sposób przeskoczyć!
Chyba... wypadnie... z prostej drogi zboczyć,
By obejść to bagnisko!?...
Drżąc żądzą złota,
Weszli do błota,
Nie mając drogi innej!! I po krótkiej chwili,
Worek ze złotem zdobyli!...
I zaczęli żyć odtąd swobodnie,
Wygodnie,
Pełni dla świata pogardy i dumy!
A patrząc z góry na tłumy,
Słabszym deptali po grzbiecie...
Znalazł się przecie
Jeden odważny, co raz tak im rzecze:
„Żeście potężni, wielcy i bogaci,
Nie przeczę...
Zawsze to przyznam z ochotą!
Jednak szacunek imię wasze traci,
Gdyż nieobmyte widać na was... błoto!!“



Dobry sposób.

— Dlaczego pan sędzia kazał umieścić w swem biurze fotel na biegunach?

— Widzi pan łaskawy, w tym celu, bym się mógł przekonać, kiedy któryś z przesłuchiwanych mówi prawdę, a kiedy kłamie!... Każdego z nich sadzam na nim. Jak długo mówi prawdę, siedzi spokojnie, gdy tylko zacznie kłamać, staje się niespokojnym, a stołek zaczyna się kiwać!...

Karyera.

— A jednak mój stryj nie miał racyi, twierdząc, że ja nigdy do niczego nie dojdę... Ot, dziś mam więcej, niż on miał!

— Więc pan zapewne pracował pilnie?

— Gdzież tam! Otrzymałem spadek i po nim i po ciotce, która równocześnie umarła!

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Włodzimierz Zenowicz. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Panie! Gdyby pańska żona wiedziała, jakie pan tu prowadzi życie, obróciłaby się z oburzenia...

— Chyba w łóżku! Bo ona o tym czasie już spi!